

PRZEDSTAWIAMY FRAGMENT WYWIADU-RZĘKI „WARTO MIMO WSZYSTKO” JAK A Z ANNA DYMNA PRZEPROWADZIŁ WOJCIECH SZCZAWIŃSKI

Anna Dymna: to była najprawdziwie

● Mam trzydziestoletniego syna, mój pierwszy mąż nie żyje od blisko czterdziestu lat. Uporałam się z

Fragment książki

Anna Dymna,
Wojciech Szczawiński

Od lat powtarza Pani w wywiadach: „Miłością mojego życia jest Wiesław Dymny”. Pewna internautka w komentarzu do jednego z nich napisała: Czy pani Dymna musi ciągle opowiadać o Wiesławie Dymnym? Przecież robi tym przykrość swojemu obecnemu mężowi.

To zupełna niedorzeczność. Po raz pierwszy o moim zmarłym mężu opowiedziałam publicznie dopiero dwanaście lat po jego śmierci. Przez bardzo długi czas temat tej miłości był dla mnie na tyle intymny i święty, że nie zamierzałam z nikim się nim dzielić. Zaczęłam to robić tylko dlatego, że kiedy Wiesiu umarł, wiele osób w podobnej sytuacji do mojej pytało, jak poradziłam sobie z jego odejściem; jak zdołałam je znieść, bo oni nie radzą sobie ze śmiercią kogoś bliskiego. Starałam się więc pokazać takim ludziom, że jeżeli ktoś ciągle żyje w naszych myślach, to znaczy, iż jest gdzieś blisko i czuwa nad nami. Przynajmniej ja tak to odbieram.

Jeśli dziennikarze zadają mi teraz pytanie o najważniejsze postaci w moim życiu, nie widzę powodu, by pomijać milczeniem Wiesia. Mówię o Dymnym w podobny sposób jak o własnych rodzicach, których także bardzo kochałam. Mój obecny mąż, Krzysztof Orzechowski, akceptuje ten fakt, rozumie go. Inaczej nie byłoby przecież razem. Zresztą ani Krzysiu, ani mój drugi mąż nigdy nie czuli, że porównuję ich z Wieskiem i że żyją w jego cieniu. Raczej mogli korzystać ze zdobytego przeze mnie, dzięki Wieskowi, życiowego doświadczenia.

Pani miłość do Wiesława Dymnego trudno jednak zrozumieć zdroworozsądkowo.

Nie sądzę, by autentyczna miłość miała cokolwiek wspólnego z rozsądkiem, intelektem albo schematycznością emocji, którą mamy wdrukowaną w umyśle. Nie mam zresztą pojęcia, jak tłumaczyć tę moją miłość do Wieska. Istnieją przecież doznania, których nie da się zamknąć w słowach. Miłość jest siłą, która się nigdy nie kończy, nigdy nie umiera. Dlatego Wiesiek, choć nie ma go już tyle

lat, wciąż jest ze mną prawdziwie. Pomyślałam nawet kiedyś – i trochę się nawet przeraziłam – że w tej prawdziwości bycia ze mną nic i nikt Dymnego mi już nie odbierze. Teraz, na zawsze, istnieje we mnie... Przez wiele lat śniłam koszmary, że Wiesiu nie umarł; że jest gdzieś, tylko nie chce do mnie wrócić. Takie sny były dla mnie największą katogą.

Na czym polegała niezwykłość Wiesława Dymnego?

Wiesiu był absolwentem Akademii Sztuk Pięknych. Funkcjonował w czasach zapiekłej komuny. Czuł się jednak wolnym człowiekiem. Nikogo nie udawał. Dlatego był prześladowany przez ówczesny system polityczny. Zawsze potrafił bawić się sztuką. Pieniądze nie miały dla niego znaczenia. Kiedy miał ochotę, pisał piosenki i wiersze, kiedy indziej stawał się plastykiem albo aktorem. Bez względu na to, czym się zajmował, zawsze pozostawał autentyczny. Z pasją przeżywał swoje tu i teraz. Potrafił też cieszyć się drobiazgami. Był jak dziecko. Pisywał na przykład listy do naszej kotki Kaśki. Prosił ją o odcisnięcie łapki w odpowiedzi, zaznaczając, że nie może się już doczekać chwili, gdy znowu razem zapolują na ćmy. Aby razem z Kaśką osaczyć małego owada, potrafił zdemolować cały pokój. Wiem, że niektórym Wiesiek wydawał się szorstki. Pół żartem, pół serio mówiono o nim, że ma wdział człowieka, który mógłby zabić, a przy tym twarz jak pobojuwisko. Ale pod tą zewnętrzną szorstkością ukryta była dusza niesłychanie delikatnego, wrażliwego i bezbronnego dziecka.

Nie była to jednak miłość z bajki. Kiedy się poznaliśmy, Dymny rozwodził się ze swoją pierwszą żoną, był ode mnie starszy o piętnaście lat. Kraków हुआ od plotek na jego temat. Związek pomiędzy nami zdawał się budzić sensację. Nie tylko w środowisku artystycznym. Anonimy na temat Wieska, które przychodziły do moich rodziców, stawały włosy na głowie. Ale ani ma-



► Anna Dymna wzięła ślub z Wiesławem Dymnym, gdy była jeszcze na studiach. Byli małżeństwem siedem lat

ma, ani tata nigdy nie mówili mi o tym wprost. Mieli do mnie zaufanie, chociaż zapewne czuli niepokój. Mamę interesowało wyłącznie to, czy Dymny mnie kocha i czy ja go kocham. Kiedy staliśmy się małżeństwem, wiele nocy spędziliśmy na robieniu zdjęć albo czytaniu najwspanialszych dzieł literatury światowej. Wiesiu, podobnie jak potem mój syn uwielbiał, gdy czytałam mu na głos. Zaczęliśmy od „Zoranego ugoru” Szolochowa. Potem przeczytaliśmy całą Biblię, następnie Dostojewskiego, Maïna, Faulknera. Sami robiliśmy meble do naszego mieszkania na poddaszu. Mój mąż je projektował, konstruował, a ja wykańczałam. Nawet łyżkę czy talerz Wiesiu wolał wykonać sam, niż pójść do sklepu i je kupić. Pamiętam, że kiedyś powiedział, iż powinien mieć futro. Kupiliśmy więc najtańsze błamy samochodowe i to futro uszyliśmy. Cóż to była za frajda! Kochaliśmy się. Wszystko inne nie miało znaczenia. Wiesiek nie żyje od blisko czterdziestu lat. Ciągle mi jednak towarzy-

szy. Czuję to bardzo głęboko. Nie wierzę w duchy, mocno stąpam po ziemi, ale obecność Wiesia w moim życiu jest niezwykle konkretna, normalna, niemal namacalna. Siły uczę się również czerpać ze wspomnień. Już mnie nie bolał. **Z czego, Pani zdaniem, wzięła się moc tego uczucia?** Poznałam Wiesia, gdy wchodziłam w dorosłe życie. Kobieca dojrzałość dopiero się we mnie budziła. Nasza znajomość trwała zaledwie siedem lat. Ale otworzyła przede mną niezwykłą perspektywę widzenia świata. Nie wiem, jak to wszystko opowiedzieć; jak opisać krótko i zgrabnie niebo i piekło, taniec nad przepaścią, szaleństwo miłości, niepewności, radości, rozpacz. Wszystkie gładkie zdania na temat naszego małżeństwa są fałszywe. Czas nie goi żadnych ran. Może w pamięci zaciera się fakty, ale czas nie zaciera uczuć... Wcale... Wszystko czuję, jakby stało się wczoraj... Pomimo choroby alkoholowej Wiesiek pokazał mi wartości na tyle silne i piękne, że zaważyły one na całym moim życiu.

Nauczył mnie, że człowiek musi w coś wierzyć i sam o sobie decydować; że od jego decyzji wszystko zależy, a temu, co się zwykle oddawać się bez reszty. Myślę, że podobna miłość do naszej zdarza się tylko raz na milion związków kobiet z mężczyznami. Chyba dlatego zaważyła także na moim stosunku do pracy, sztuki, na relacjach z innymi ludźmi... Wiesiu był nadzwyczaj uczciwym człowiekiem. Nigdy nie usłyszałam od niego, że trzeba zrobić to i tamto, bo wtedy coś zyskamy. To dzięki niemu „popłynęłam” w tym, a nie w innym kierunku i, jak sądzę, potrafię oddzielać plewy od ziarna. **Dymny był artystą. Czy miał również wpływ na kształtowanie się Pani wrażliwości i estetyki?** Wiesiek przedziwnie reagował na moje aktorstwo. Po premierze „Nocy listopadowej” ktoś mi powiedział, że widział Dymnego płaczącego. On po prostu się wzruszał, widząc mnie na scenie. Dawał mi zresztą masę fachowych rad. Korzystałam z nich do dzisiaj. Mówił na przykład, że jeśli

mam grać scenę, w której muszę się uśmiechać i ten uśmiech ma coś znaczyć, to wcześniej nie powinnam się uśmiechać, bo wtedy ten ważny uśmiech zginie w poprzednich; i jeśli taką ważną scenę z uśmiechem gram w połowie filmu, to wcześniej cały czas powinnam być poważna. Wiesiek pokazał mi świat, którym nasiąknęłam jak bibułka. Zostałam w tym świecie do dzisiaj. (...) **Na jakiej podstawie uważa Pani, że łączyła Was prawdziwa miłość?** Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jeśli kocha się drugiego człowieka, to nie dlatego, że zaspokaja on nasze oczekiwania i potrzeby. Po prostu jest się przy nim. Bez względu na wszystko. Miłość nie polega na tym, że dostaje się czekoladę albo sukienkę. Owszem, to są miłe gesty, jednak o niczym nie świadczą. Jeżeli kogoś kochamy, to chcemy być z tym człowiekiem, wszystkim się z nim dzielić i radościami, i największymi smutkami; razem z nim cierpieć, przebaczać mu. Na początku przy Dymnym nie było mi łatwo. Ale potem zro-

Wiesław Dymny pił nie dlatego, że musiał, lecz dlatego, że bolała go rzeczywistość

KSIĄŻKĘ WYDAŁ KRAKOWSKI „ZNAK”

wsza miłość

go śmiercią - mówi Anna Dymna

Anna Dymna

● Anna Dymna z domu Dziadyk (ur. 20 lipca 1951 r.) - aktorka teatralna i filmowa, działaczka społeczna, założycielka i prezes Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko”.

Ukończyła VII Liceum Ogólnokształcące im. Zofii Nałkowskiej w Krakowie. Absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie (w 1973 r.).

Od 1990 roku wykłada na tej uczelni. Od 1973 r. związana z krakowskim Starym Teatrem. Zadebiutowała w 1969 r. w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w roli Isi i Chochola w Weselu Stanisława Wyspiańskiego.

Angażowała się w działalność Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa, uczestniczyła w akcjach m.in. WOŚP, Stowarzyszenia „Wielkie Serce”, Fundacji „Mam Marzenie”, Fundacji im. Brata Alberta.

W 2003 założyła Fundację Anny Dymnej „Mimo Wszystko”.

Jeszcze w trakcie studiów została żoną Wiesława Dymnego.

Po jego śmierci wyszła za mąż za Zbigniewa Szotę, z którym ma syna Michała. Jej trzecim mężem został aktor i reżyser teatralny Krzysztof Orzechowski.

zumiałam, że choćby nie wiem co, zawsze będę z nim.

W jaki sposób radziła sobie Pani z chorobą alkoholową małżonka?

Nie wiem, czy to była choroba alkoholowa. Mało wtedy wiedziałam na ten temat. Zresztą Wiesiu czasem nie pił całymi miesiącami. Chwilami jednak przechodziłam piekło. Polegało ono nie na tym, że Wiesiek obracał w koszar moje życie. Po prostu nigdy nie byłam pewna, czy kiedy wrócę do mieszkania, nie zastanę męża pobitego albo czy nie przepadnie gdzieś na kilka dni. Czasami przepadał. Potem okazywało się, że wpadł pod samochód albo go pobito i znajduje się w szpitalu. Nieraz zastawałam mieszkanie kompletnie zdemolowane. Różnie na to reagowałam. Nie było łatwo. Najdziwniejsze było to, że kiedy Wiesiek przestawał pić, natychmiast wybaczałam mu wszystko. Im dłużej z nim byłam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że tego niezwykłego człowieka nigdy nie opuszczę. Złączył nas nie przypadek czy ślepa fascynacja, lecz chyba najprawdziwsza miłość.

Wiedziałam to od początku. Mój mąż pozwolił mi uwierzyć, że miłość jest prawdą, a nie jedynie wyobrażeniem i kłiwym uczuciem. Dlatego twierdzę, że nasze uczucie wciąż trwa.

A z czego, Pani zdaniem, brało się picie Wiesława Dymnego?

Wieska potwornie bolał świat. Właściwie wszystko, co robił, było niszczone przez komunę. Żyliśmy przecież w czasach absurdu. Mąż z niego kpił, ale strasznie cierpiał wewnętrznie. Jego sytuacja artystyczna nie była dobra. Film „Słońce wschodzi raz na dzień” długo leżał na półkach, bo do rozpowszechniania go w kinach nie dopuściła cenzura. Potem, pocięty, wyświetlany był w klubach dyskusyjnych. Podobnie „Pięć i pół bladego Józka”, film do którego Dymny napisał scenariusz, został zatrzymany przez cenzurę jeszcze przed udźwiękowieniem. Młodzi ludzie dyskutowali w tym filmie o wolności, uczciwości, życiu, śmierci... Poruszanie w kinie tego typu tematów było dla ówczesnych władz czymś niedopuszczalnym.

Dramat, a jednocześnie wielkość i niezwykłość Wieska polegały na tym, że nie był w stanie pójść na żadne układy, kompromisy, o których wiedział, że są nonsensem. Dymny uwielbiał też przetwarzać rzeczywistość. Znosił do domu stare buty znalezione na śmietnikach, korki, kawałki rusztowań... Planował wykorzystać je w robionych przez siebie scenografiach. Jeśli był trzeźwy, nigdy nie siedział bezczynnie. Rysował, rzeźbił, pisał tysiące tekstów. Wszystko paliło mu się w rękach. Realizował każdy swój pomysł. Często zdarzało się jednak, że słyszał: „No tak, ładnie to pan zrobił, ale my potrzebujemy teraz tekstów o Hucie Katowice albo o Porcie Północnym”.

Wiesiek przypominał ptaka, któremu codziennie wyrastają skrzydła i któremu codziennie te skrzydła się przycina. Z tego zapewne brało się jego picie. Z bezsilności wobec życia. Chyba też bym piła na jego miejscu. Kiedy Barbara Natkaniec zwróciła się do męża z prośbą o wywiad, odpisał jej: Mój życiorys artystyczny niewart jest wspomnienia. Nic nie znaczy w świecie oszalałymi technikami. Gdybym był konstruktorem niezwykłych kieliszków do boskich napojów, wtedy organizacje młodzieżowe śpiewałyby hymny na moją cześć... ●